

Jadwiga Wojtczak-Jarosz

Kobiety Afryki

obyczaje, tradycje, obrzędy, rytuały

Cz II.



Jadwiga Wojtczak-Jarosz

„Kobiety Afryki, obyczaje, tradycje, obrzędy, rytuały.”

Copyright © by Jadwiga Wojtczak-Jarosz, 2015

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski

Korekta: Paweł Markowski

Projekt okładki: Robert Rumak

Zdjęcie na 1. stronie okładki: Jadwiga Wojtczak-Jarosz

Zdjęcie na 4. stronie okładki: D. & K. Jarosz

ISBN: 978-83-7900-363-1

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

Wstęp.	7
Rozdział 1	11
<i>Wizyta w szpitalu</i>	
Rozdział 2	23
<i>O czym się nie mówi</i>	
Rozdział 3	34
<i>Z wizytą u Dana</i>	
Rozdział 4	41
<i>Spełnione proroctwo</i>	
Rozdział 5	44
<i>Ma chłop zdrowie</i>	
Rozdział 6	49
<i>Nie zostałam prostytutką przez przypadek</i>	
Rozdział 7	57
<i>Wojownicy pustyni</i>	
Rozdział 8	62
<i>Miłość na dachu</i>	
Rozdział 9	71
<i>Goście</i>	
Rozdział 10	76
<i>Province of Freedom for Black Poor</i>	
Rozdział 11.	80
<i>Przyjechała uwar gida</i>	
Rozdział 12	86
<i>Listy z Polski</i>	

Rozdział 13.90
<i>Tajemniczy nieznamomy</i>	
Rozdział 1497
<i>Dymy w świątyni</i>	
Rozdział 15.	103
<i>Makaranta</i>	
Rozdział 16	108
<i>Na komisariacie policji</i>	
Rozdział 17.115
<i>U Szlachcica w domu</i>	
Rozdział 18	124
<i>Na Oddziale Położniczym</i>	
Rozdział 19	134
<i>Tu się kobiet w rękę nie całuje</i>	
Rozdział 20	141
<i>Afrykańska Karta Praw Kobiet</i>	
Rozdział 21	150
<i>Prawo do wody</i>	
Rozdział 22	165
<i>Akanke warkè!</i>	
Rozdział 23	169
<i>Albishir</i>	
Rozdział 24	172
<i>Dermatolog</i>	
Rozdział 25	178
<i>Jeszcze raz się narodzić</i>	
Rozdział 26	182
<i>Goście z Maiduguri</i>	

Rozdział 27	198
<i>Słuchać głosów nocy</i>	
Rozdział 28	202
<i>Nieobyčajne żony</i>	
Rozdział 29	207
<i>List od córki</i>	
Rozdział 30	211
<i>Ciemna krew</i>	
Rozdział 31.	218
<i>Rozmowa</i>	
Rozdział 32	223
<i>Dan</i>	
Rozdział 33	230
<i>Należy mu się więcej żon</i>	
Rozdział 34	234
<i>Yankari</i>	
Rozdział 35	241
<i>Baobaby</i>	
Rozdział 36	244
<i>Słonie</i>	
Rozdział 37	253
<i>Nawet nie próbował...</i>	

Część druga

KWIATY JAKARANDY

Akanke

WSTĘP

Druga część książki „Kobiety Afryki, obyczaje, tradycje, obrzędy, rytuały”, to zdecydowanie książka dla dorosłych. I jeśli ktoś narzekał, że w pierwszej części zbyt mało było o afrykańskich kobietach, to tu zdecydowanie o nich dużo. Autor nie szczędzi nam wrażeń i opisów drastycznych scen, nieznacznie tylko złagodzonych w dialogach dzięki empatii dyskutantów, znanych nam już z pierwszej części oraz stosowanych przez nich fachowych medycznych określeń.

W miarę czytania, stopniowo znika zasłona snu o Afryce, odkrywając to, „o czym się nie mówi”. To tytuł jednego z rozdziałów, który ostatecznie zdejmuje nam z oczu różowe okulary. Nie znaczy to bynajmniej, że znika wspaniała przyroda. Mamy wodospady Wiktorii, dzikie zwierzęta żyjące na swobodzie na ogromnych przestrzeniach parku narodowego Serengeti i powulkanicznych rozległych obszarach doliny Ngorongoro. Wraz z dwójką podróżników wędrujemy na Kilimanjaro i schodząc podziwiamy pomarańczowy wschód słońca, a potem dojdziemy do zdrowia w hotelu nad brzegiem Oceanu Indyjskiego. Plaża jest tam cudowna, Wody oceanu spokojne, ale codzienne życie Człowieka Afryki bynajmniej spokojne nie jest.

Główna akcja toczy się na uniwersytecie i w szpitalu. Paradoksalne sytuacje, zdarzające się co rusz podczas zajęć ze studentami – często śmieszne, czasami straszne – wynikają

z nieznamości lokalnych obyczajów, plemiennych wierzeń i tradycji. Szpital to wielki problem i warto zobaczyć, w kilku zdaniach trudno go opisać. To szpital, w którym szansę przeżycia mają tylko ci, którym rodzina upitrasa obok na ognisku posiłek i zaopatrzy w wodę. Woda, woda i jeszcze raz woda. Bez niej nie da się żyć. Tam, gdzie rzeki powysychały, umierają też ludzie. Chorych przywiezionych do szpitala z wypadku w ciężkim stanie zdrowia, jeśli nie są rozpoznawalni jako „ludzie ważni” kładzie się „gdzieś z boku”, by nie zawadzali. Równie zagadkowe są losy pacjentów psychiatrycznych. Z tymi z kolei nie wiadomo, co zrobić, bo jako chorzy, do szpitala mają prawo, ale rodzina nie zajmie się ich żywieniem: bo chory psychicznie, to „opętany przez złe moce”, cokolwiek by to nie znaczyło.

Odwiedzając szpitale odkrywamy przed Czytelnikiem świat młodocianych prostytutek; ich młody wiek szokuje, chociaż jest tak charakterystyczny dla Afryki. Przecież po pięćdziesiątce, to już staruszkowie. Poznając kulisy życia prostytutek zdajemy sobie sprawę, jak bardzo w osądzie myli się prof. Wiesław Olszewski, pisząc w swoich licznych ciekawych książkach podróżniczych, że prostytutka w Afryce to łatwy, prosty, bezwysiłkowy, w dodatku przyjemny zawód.

W szpitalach większych ośrodków uniwersyteckich dostrzegamy oznaki wielkiego postępu: są instytuty badawcze, pojawia się dobra aparatura do badań diagnostycznych i naukowych; trzeba tylko wiedzieć, co zakupić, bo pieniądze na rozwój nauki są. Zdarzają się też dobrzy lekarze, czego przykładem w książce jest świetny dermatolog, Węgier z pochodzenia. To ostatecznie głównie jego obserwacje zwracają uwagę

na charakterystyczne cechy „dziwnej” choroby występującej u ludzi młodych z osłabioną odpornością. W ten sposób Czytelnik może zaobserwować pierwsze rozpoznawalne objawy AIDS w Afryce. Okres bowiem, o którym mowa, to już tylko miesiące dzielące nas od zdiagnozowania zakażeń HIV.

Ale wróćmy do streszczenia akcji, która nieoczekiwanie zbacza z głównej ścieżki, jaką były relacje między bohaterami książki, a nigeryjskimi studentami, na wątek miłosny, rozwijający się wokół osoby, która też zupełnie nieoczekiwanie, bez swej woli i starań, staje się głównym punktem zainteresowań. Oto piękna, samotna, chora dziewczyna. Wzbudza zainteresowanie nie poprzez swe starania i dopominanie się pomocy, ale – paradoksalnie – swą niezwykle skromnością, spokojem, milczącym uporem w dążeniu do wyznaczonego celu i dumną postawą afrykańskiej kobiety. Jej pojawienie się bardziej jeszcze zbliża nas do zrozumienia wagi problemu dyskryminacji afrykańskich kobiet i tragicznych skutków łamania prawa do nietykalności cielesnej, nie tylko w znaczeniu jednostkowym, ale ogólnospołecznym, kulturowym i cywilizacyjnym.

Warto na koniec zwrócić uwagę na jeszcze jedną postać: na kilkunastoletniego chłopaka, który pojawia się w połowie pierwszego tomu i towarzyszy nam do końca drugiego. Mówi językiem Hausa, polski język uważając za „tak trudne świergotanie głosami cykad i żab, że nie sposób zrozumieć”. Swej matki nie znał, chociaż mówi o niej: „tak piękna mogła być tylko moja matka”. Mimo sieroctwa ma naturę tak pogodną, że mógłby służyć za przykład i ożywia atmosferę swym logicznym, bezpośrednim i bezproblemowym podejściem do zawiłych życiowych dylematów „białego człowieka”. Jego wzruszający,

przepełniony tęsknotą za kobiecym dotykiem wiersz o kochaniu, w którym czuć urok nigeryjskiej nocy i słyszeć echa dawnych pogańskich wierzeń, znajdzie Czytelnik w książce w przekładzie (jednak!) na język polski.

W prywatnej rozmowie z Autorką dostrzegliśmy głębokie ubolewanie nad sytuacją Afrykanek. Autorka wspomina: „Przemoc wobec kobiet, bez mała od urodzenia, krwawe praktyki obrzezania dziewczynek (nawet kilkudniowych) bez żadnego znieczulenia „bo ma boleć”, cięższe nastolatki, studia za cenę prostytucji i AIDS – na to już nie sposób zamykać oczy. I pomyśleć, że tyle organizacji niby walczy z tą patologią! Nawiasem mówiąc, nigdy i nigdzie nie spotkałam, żeby Kościół z tym walczył, a przecież wszędzie jest. Kiedy patrzę w oczy tego dziecka (na zdjęciu), niosącego na plecach dziecko, zawsze czuję żal do samej siebie.”

ROZDZIAŁ 1

WIZYTA W SZPITALU

Poradny szykował się do wyjazdu na urlop. Chciał zostawić Feliksowi swój samochód.

– Takiej przysługi się nie spodziewałem – ucieszył się Feliks. – Akurat się przyda. Gdy przyjedzie żona, a nasze samochody jeszcze nie dopłyną, ten będzie jak znalazł. Na razie sam nim pozwiadam okolicę.

– Ale... – zaczął Poradny.

– Oczywiście – przerwał mu. – Mogę zaraz uregulować, lub po powrocie, jak wolicie?

– O coś innego chodzi.

– Nie o pieniądze? – zdziwił się Feliks.

– Chodzi o to, żebyście, towarzyszu, czasami zajrzeli do tej dziewczyny... no wiecie... opowiadałem kiedyś.

– A tak, pamiętam. Ta dziewczyna lekkich obyczajów, którą się interesowaliście. Ale niby jak mam to rozumieć?

– Nie, nie – roześmiał się Poradny. – Nie miałem na myśli seksu. Ona leży w szpitalu uniwersyteckim na kardiologii. Pogorszyło jej się.

– Ale co ja jej pomogę? Nie znam się na sercu ani dosłownie, ani w przenośni.

Stańto na tym, że raz w tygodniu, no może dwa, jeśli mu czas pozwoli, odwiedzi ją i od czasu do czasu porozmawia

z lekarzem prowadzącym. Widać nie chce dziewczyny stracić, pomyślał Feliks, a ma do mnie zaufanie, że mu jej nie poderwę.

*

Szpital uniwersytecki był położony w najuboższej dzielnicy miasta. Feliks wszedł przez bramę, strażnik ukłonił mu się, nie zapytał do kogo przychodzi. Feliks znalazł się na obszernym, zaśmieconym dziedzińcu. Z lewej strony, pod parterowym barakiem, gdzie mieściła się administracja, parkowały samochody. Dalej, na wprost portierni, jak okiem sięgnąć, widać było niskie baraki oddziałów szpitalnych. Bliżej, na dziedzińcu rosło kilka zniszczonych drzewek. W ich okolicy krzątali się ludzie lub siedzieli na czym się dało, najczęściej w kucki. Na kilku małych ogniskach kobiety pitrasily posiłki dla swoich bliskich leżących w szpitalu, jak się niebawem dowiedział od dozorca.

– Szpital nie prowadzi kuchni – objaśnił go. – Szpital ma leczyć. Żywnienie chorego, to jest obowiązek rodziny, a nie szpitala.

– A co robi chory, który nie ma rodziny? Ani nawet znajomych? – zainteresował się.

Dozorca popatrzył na niego zdziwiony:

– Jak to, co?... To niemożliwe... A co będzie jadł?

– No właśnie o to pytam.

Dozorca wzruszył ramionami.

– Nie wiem... – odpowiedział po krótkim namyśle. – To nie mój interes. Chyba taki nie przychodzi leżeć do szpitala.

Łatwo znalazł barak kardiologiczny. Stał jako pierwszy w prawym szeregu baraków. Było tu w miarę czysto. Dziewczyna

Poradnego rzeczywiście była atrakcyjna. Nie przypuszczał, że aż tak bardzo. Skórę miała koloru ciemnego miodu, tak, jak opisywał Poradny. Oczy ogromne w ciemnej oprawie brwi i długich rzęs, twarz pociągłą, ciemne włosy skręcone w drobne fale opadały na ramiona. Nie spodziewała się odwiedzin. Była zaskoczona, przepraszała, że się nie przygotowała do wizyty, że nie wiedziała, że profesor... itd. Najwidoczniej знаła go z widzenia. Wstała, zašlała szybko łóżko i zaproponowała, że go oprowadzi po terenie. Chętnie na to przystał, nawet był zadowolony. No, bo o czym z taką rozmawiać, pomyślał. Przejdę się z nią i pożegnam.

Pawilonów było kilkanaście, może więcej. Między nimi chodziły kozy i nieliczne krowy, szukając resztek jedzenia. Tutaj ludzi na zewnątrz było mało. Widocznie pozostają w środku, pomyślał. Wyobrażam sobie, jak tam musi być duszno. Ale niebawem okazało się, że nawet sobie nie wyobrażał.

– Zaprowadzę pana aż na sam koniec – powiedziała. – Ta dalsza część pewnie najbardziej pana zainteresuje.

– Chirurgia? Myśli pani, że jestem chirurgiem?

– Nie, chirurgia też tu jest, nawet okulistyka chirurgiczna, ale nie myślałam o niej i nie myślę, że pan jest chirurgiem. Chirurdzy mają inne ręce.

Był zdziwiony. Kiedy ona zdążyła obejrzeć moje ręce?

– Znam jedną dziewczynę z trzeciego roku – mówiła dalej – więc wiem, z jakiej pan katedry. Opowiadała mi o panu.

– I co? – zapytał, aby podtrzymać rozmowę.

– Mówiła, że pan interesująco prowadzi wykłady. Kiedy już na dobre zaczęła chorować, chodziła już tylko na pana wykłady. Z czystego zainteresowania. Ale nie dotrwała do egzaminów.

– Przyjemnie słyszeć, że była zainteresowana moimi wykładami. Mówi pani, że nie zdawała?

– Nie dała rady. Ma na utrzymaniu dużą rodzinę, więc musi się leczyć.

– I co teraz robi?

Akanke spojrzała na niego jakby zdziwiona pytaniem. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Tak, jak powiedziałam, teraz tu leży. Jest z Zairu – dodała.

Nie wypytywał. Co go to w końcu obchodzi, co robi jej koleżanka i skąd jest? Może też uprawia płatną miłość. Jeśli to woli zamiast studiów, jej sprawa. Szli kawałek w milczeniu.

– Na samym końcu jest oddział cholery – odezwała się. – U was w Europie inaczej wyglądają oddziały zakaźne, ale tu właśnie tak, jak pan zobaczy.

– I to mi pani chciała pokazać? – zdziwił się.

Zastanawiał się, iść dalej, czy wykręcić się brakiem czasu i zawrócić. Był szczepiony na cholere, nie będzie niczego dotykał. Cholera nie przenosi się drogą kropelkową, mogę ostatecznie zobaczyć, zdecydował. Aby być w zgodzie z sumieniem, poradził dziewczynie, aby też niczego nie dotykała.

– Wiem, nie jestem aż tak ciemna, jak może się wydawać – odpowiedziała.

Roześmiał się.

– W rzeczy samej, jest pani prześlicznie miodowo czekoladowa – powiedział i sam się zdziwił swoją odpowiedzią.

To pierwszy komplement, jaki powiedziałem kobiecie od nie wiem już jak dawna, pomyślał. Ciekawe z jakiego ona może być plemienia. Dan zaraz by się nad tym głowił.

Szli między pawilonami i tylko jedna rzecz coraz bardziej mu przeszkadzała: odór. Wyjął chusteczkę i zakrył nos.

– To te krowy? – zapytał.

– Nie. To ludzie. Zaraz pan zobaczy. To właśnie tutaj, to ten pawilon.

Drzwi i okna niskiego baraku były otwarte. Weszli. Smród i zaduch były nie do zniesienia. I wszędzie muchy. Widocznie dziewczyna miała większą wytrzymałość, bo była w stanie mówić.

– Proszę zwrócić uwagę, skąd pochodzi. Materac ma trzy części. Środkowa część jest wyjęta i w tym miejscu pod łóżkiem stoi wiadro. Nikt nie trudzi się przynoszeniem basenu. Ani nie interesuje odleżynami, gdy chory tak leży na twardych sprężynach.

– Chodźmy już – przerwał jej. – Pani wybacz, nie mogę dłużej.

Gdy szli już z powrotem, zauważył dziwną szarą postać z kapturem na głowie przesuwaną się wolno pomiędzy pawilonami. Za nią po ziemi wlokł się gruby łańcuch. Postać przystanęła, zarzuciła łańcuch na ramię i wolno powędrowała dalej.

– To psychicznie chory – wyjaśniła Akanke. – Chorzy psychicznie, kiedy nie są niebezpieczni, mogą swobodnie chodzić po terenie. Gdy stają się podnieceni, przymocowuje się ich do łóżek. Do tego służy łańcuch. Przy łóżku wisi kłódka.

– Z łóżkiem nie pójda, to prawda.

– Łóżka są metalowe z nogami wmurowanymi w cementową podłogę.

– Gorzej niż w więzieniu! Co na to ich rodziny?

– Psychicznie chory nie ma rodziny. Uważany jest za opętanego przez złe duchy. Rodzina unika z takim kontaktem.

– A co z ich wyżywieniem?

– Z tym właśnie jest problem. Pewnie ten chodzi i szuka jedzenia. Podobnie, jak tamte kozy i krowa.

– Coraz lepiej – mruknął. – Nigdy bym nie pomyślał, że dzisiaj, w drugiej połowie dwudziestego wieku, chorego psychicznie można bezkarnie przykuć łańcuchem do metalowego łóżka w cementowanego w posadzkę i pozostawić bez żywienia. Albo, że chory psychicznie, to opętany i nie ma się co o niego troszczyć. Ma gorzej niż ta koza. Ta chociaż może sobie chodzić swobodnie. Zupełnie inny świat. Już nie mówiąc o tym pawilonie z cholerą...

Zdał sobie sprawę, że mówi tonem lekceważącym i pełnym pretensji, jakby ta dziewczyna była temu winna. No, ale to w końcu jej kraj, a nie mój, niechże się dowie, co myślę.

Szli znów w milczeniu. Odezwała się dopiero, gdy wrócili na dziedziniec:

– Wiem, że to dla Europejczyka coś niezrozumiałego, taki szpital, jak ten. Dlatego pana po nim oprowadziłam. Pomyślałam, że ponieważ biali przyjeżdżają tutaj, aby nas uczyć, powinni też wiedzieć, jak żyjemy.

Mówiła teraz jakimś innym, oficjalnym, twardym tonem i Feliks popatrzył na nią zdziwiony. To nie była ta sama nieśmiała dziewczyna, jaką wydała mu się przed niespełną godziną. Czym ją tak zirytowałem? – myślał. Zastanawiał się nad skomentowaniem jej wypowiedzi, wreszcie zapytał:

– A czy pani była kiedykolwiek w normalnym, europejskim szpitalu?

– Nie byłam w europejskim i nie wiem, co pan nazywa normalnym. Byłam w amerykańskim. Gdy byłam dzieckiem

i zaczęłam chorować, ojciec przyjechał po mnie i zabrał mnie tam. Leżałam dość długo... Wystarczająco długo, aby zapamiętać, jak wyglądał.

Zaskoczyło go to wyznanie.

– Rozumiem... – powiedział, zdając sobie sprawę, że dopiero teraz nie rozumie, kim ona właściwie jest.

– Gdy wróciłam tutaj – mówiła dalej – matka już nie żyła, ale żyła jeszcze babka. Gdy umarła i babka, znów miałam nawrót choroby i znów ojciec mnie zabrał, ale wtedy już na Jamajkę. Tam miał więcej przyjaciół.

– A teraz? Nie wolałaby pani leczyć się znów tam?

Gdy zadał to pytanie zorientował się, że mogło być bolesne. Może ona teraz nie miała wyboru? Akanke dopiero po chwili odpowiedziała, nie patrząc na niego:

– Teraz nie mam już ojca. Teraz jestem sama.

Poszli ku wyjściu. Odprowadziła go do bramy. Podał jej rękę.

– Gdyby pan miał ochotę jeszcze kiedyś przyjść... – zaczęła i zająknęła się.

Wydała mu się znów nieśmiałą dziewczyną sprzed godziny.

– To co wtedy?

– To miałabym wielką prośbę.

– Mianowicie?

– Aby przyniósł mi pan butelkowaną wodę... albo po prostu przegotowaną u siebie, w domu. Każdego dnia marzę o czystej wodzie do picia.

– Na pewno przyniosę – pospieszył z odpowiedzią zanim jeszcze skończyła zdanie. – A ja też chciałem o coś zapytać... Ale jeśli pani uzna, że to nazbyt osobiste pytanie, proszę nie odpowiadać.

Popatrzyła na niego uważnie i jakby z obawą.

– Proszę, niech pan pyta.

– Nie, nie aż tak osobiste, żeby się rumienić – uśmiechnął się. – Wiem, że wiele imion afrykańskich, zwłaszcza kobiecych, ma swoje odpowiedniki w lokalnych określeniach, przysłowia... Jak pani imię brzmi w tym przekładzie?

– O, większość takich opisowych określeń można rozmaicie rozumieć – odpowiedziała, również uśmiechając się. – Moje imię, Akanke, w tłumaczeniu na angielski znaczy *to know her is to love her*¹.

Feliks zastanowił się.

– A jaka kolejność tu obowiązuje?

Dopiero gdy zadał to pytanie, pomyślał, że mogło zabrzmieć prowokująco. Mimo tego, gdy ona patrzyła na niego swymi wielkimi oczyma, dokończył:

– To znaczy, czy od razu można się zakochiwać, czy najpierw trzeba jednak poznać?

Oboje się roześmieli. Miał ochotę zapytać jeszcze, jakie plemię wymyśliło tak piękne imię, ale zanim zadał to pytanie, powiedziała sama:

– Nigdy nie dowiedziałam się, jakie jest źródło tego imienia, z jakiego plemienia pochodzi. Wiem tylko, że na Zachodnim Wybrzeżu żyje cały szereg plemion posługujących się wspólnym językiem, językiem *Kwa*², zaś największą etniczną grupą

1 (ang.) poznać ją, znaczy pokochać ją.

2 Język *Kwa* (*New Kwa*), powstawał na kanwie wielu języków w warunkach wspólnej niewolniczej pracy różnych grup etnicznych, przywożonych przez kolonizatorów na Zachodnie Wybrzeże przez wieki (xv–xix w.). Dzięki wspólnocie językowej niewolnicy

jest tam właśnie plemię *Akan*³. Ci ludzie wywodzą się z Ghany lub Wybrzeża Kości Słoniowej. Dawniej tym imieniem nazywała mnie tylko matka.

– A ojciec?

– Ojciec nazywał mnie Akosi, bo urodziłam się w niedzielę. W niektórych plemionach tej grupy panuje zwyczaj nazywania dziecka według dnia tygodnia, w którym przyszło na świat. Niedziela, to w tym języku Kwasiada; Akosi, to zdrobnienie. Dziecku nadaje się często dwa imiona, jedno narzucone przez dzień urodzenia, drugie wybrane. Ale dla ojca, Akosi to też było imię jakby wybrane. Gdy przyjeżdżał, zawsze mówił, że jestem jego niedzielą, jego świątecznym dniem, w którym zapomina o kłopotach.

– Zaryzykuję jeszcze jedno pytanie – odezwał się coraz bardziej zainteresowany. – Jak długo pani jest tutaj, w Nigerii?

– W zasadzie zawsze byłam, prawie od urodzenia, za wyjątkiem tych dwóch długich wyjazdów na leczenie. Ojciec

pracujący w kopalniach (także przywiezieni z Jamajki) stali się najbardziej znaczącą grupą walczącą z kolonizatorami (XVII w.). Ich artystyczne wyroby ze złota i brązu można spotkać w wielu muzeach świata. Obecnie językiem *New Kwa* posługuje się ok. 20 mln osób (Ghana, Togo, Burkina Faso, Benin, Mali, Jamajka, Wybrzeże Kości Słoniowej, Afrykańczycy w US, na Wyspach Brytyjskich, we Francji).

3 U *Akan people* wyznaczenie linii pochodzenia odbywa się wg linii matki. Z ludu *Akan* pochodził wieloletni sekretarz ONZ (1997–2006) Atta Annan (ur. w Ghanie, 1938 r.) odznaczony Pokojową Nagrodą Nobla (2001), zaś przez Polskę – Krzyżem Wielkim Orderu Rzeczypospolitej Polskiej (2000 r.); ma na imię Kofi, co w lokalnym języku oznacza „piątek”.

przywiózł nas tu z Południowej Afryki niedługo po uzyskaniu przez Nigerię niepodległości. Matka dużo chorowała. Dobrze, że znalazła się babka. Nie była moją rodzoną babką, ale była bardzo dobra dla mamy i dla mnie. Nazywała mnie zdrobniale Siisi, też od Kwasiada.

Kilka kupionych w sklepie obok butelek z wodą gazowaną i swoją ulubioną „Fantę” Feliks przyniósł do szpitala jeszcze tego samego dnia.

*

Wsiadając do samochodu zauważył, że z chłodnicy cieknie woda. Samochód posiadał stary system chłodzenia. Skręcił do warsztatu naprawczego, który mijał po drodze. Poprosił o szybką naprawę. Człowiek w umazanym kombinezonie, nie przestając żuć gumy, popukał w chłodnicę. Wprowadził samochód do garażu i kazał Feliksowi czekać na zewnątrz. Nie trwało to długo. Wyszedł po kilkunastu minutach, nie żuł już gumy, oddał Feliksowi kluczyki.

– Trochę zajęło – powiedział – bo musiałem wypuścić wodę z chłodnicy przed łataniem, żeby osuszyć to miejsce. Inaczej by nie trzymało. Nie przegrzewaj za mocno. Dwudziestka.

Feliks zapłacił i pojechał do domu. Sprawdził po przyjeździe. Nie ciekło.

– Dobra robota – pomyślał. – Szybka, chociaż może trochę drogo.

Szykował sobie kolację, gdy nagle przyszła mu ochota popatrzyć, jak to on tam zalutował, aby dobrze „trzymało”. Poszedł

do garażu, podłożył sobie gazety i wsunął się pod samochód. Na lutowanie to nie wyglądało. Pomacał, przyniósł latarkę, poświecił. To była guma do żucia.

– No nie! Nie pozwolę z siebie robić wariata, przecież zapłaciłem. I jak za kawałek gumy do żucia, to całkiem drogo.

Zostawił kolację, wyprowadził samochód i pojechał.

Ten sam, co poprzednio człowiek, już bez fartucha, zamknął drzwi zakładu. Odwrócił się, gdy Feliks podjeżdżał.

– Ty zakleiłeś tę dziurę gumą do żucia! – Feliks nie pytał, stwierdzał fakt.

– Zgadza się – przytaknęła majster i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Jak można tak partaczyć? – Feliks podniósł głos.

Człowiek zrazu nie zrozumiał. Nagle pojął i z miejsca się zdenerwował.

– Coś powiedział?! Partaczyć?! A cieknie ci? – wrzasnął stokroć głośniejsze niż Feliks. – Mów, cieknie ci, czy nie?!

– Nie – przyznał Feliks zaskoczony reakcją. – Nie cieknie, ale to jest guma do żucia.

– Przecież wiem! Sam ją żułem i sam zaklejałem. No i co z tego, że guma do żucia? Pogłówkować trzeba, *bature*, pogłówkować. Przyszedłeś, żeby zmzerperować. Powiedziałeś, że cieknie. Chciałeś, żeby nie ciekło. Zrobiłem, żeby nie ciekło, więc o co ci chodzi? Co ciebie obchodzi jak ja swoją robotę wykonuję? Za wynik płacisz, *bature*!

Dyskusji nie było. Ale rzeczywiście, długo trzymało.



Ryc. 1. Na dziedzińcu szpitalnym.